

STANISŁAW SŁAWIECKI.

NA OSTRZU BAGNETU.

OPOWIADANIE.

Wolno mijali ostatnie domostwa. Miasto z każdą chwilą zostawało coraz dalej za nimi, mało, blade... Jeszcze widać było tu i owdzie pojedyncze światła w małych okienkach przedmiejskich domostw, dochodziły słabe odgłosy ślaniającego się do snu podmiejskiego życia, i wszystko znikło, przepadło gdzieś w nocnej mgle.

Wilgotna cisza trwała, pochłaniając miarowy stukot kół i ciężki oddech stalowego potwora, wlokącego za sobą długi szereg wyładowanych ludźmi wozów.

Ciemny, sinemi chmurami zasłany granat nieba, bez kresu ciągnące się obszary pól bez śladu życia; to wszystko w jakąś przepastną zlewało się toń, przyniatającą swą straszną potęgą.

Cisza tam legła, lecz jakże mowna.... Chwilami tylko snop migotliwych, ognistych isker się przesunął i smuga popielatego dymu...

W wagonie cisza.

Ponure cztery ściany dużego wagonu, dokładnie ludźmi wypełnionego, blade tylko oświecała zawieszona na ścianie latarka. Ludzie poukładali się na skąpo zasłanej na podłodze słomie; jedni leżeli bez ruchu, czyniąc wrażenie śpiących, inni wsparci o tornistry siedzieli, niemy wzrok w jakimś, w myślach wytworzonym obrazie utkwivszy.

Dobiło stał w otwartych drzwiach wozu, oparłszy się łokciami o drąg tam umieszczony.

Stał bez ruchu i uparcie patrzył w ciemną noc. Nie widział nic, głuchy na wszelkie odgłosy życia. Myślą i sercem, pragnieniem i tęsknotą pozostał tam... wśród tych w dali już pozostawionych podmiejskich domostw.

Tam, na pięterku, w niskiej izdebce siedział teraz przy stole, jak codzień o tej porze, i czytał na głos przyniesioną gazetę; obok niego młoda, przystojna kobieta, z dobrej, jasnymi oczyma, wsłuchana w dźwięk jego męskiego głosu, z czułością weń wpatrzona. Jakże miło jest odczuwać spoczywający na nas wzrok kochającej i ukochanej przez nas osoby... Więc dobrze mu, jak dobrze... Oczy śmieją się szczęściem i zadowoleniem, a czoło pogodne.

Gdzieś z nieoświeconej części izdebki odzywa się dziecięcy srebrny śmiech. He, he, he... ha, ha... to mały jego pięcioletni dzieciak, Zbys, przez sen do życia się śmieje. Budzi się i znowu się śmieje. Wyciąga do ojca swe dziecinne łapki.. tatuś! tatuś — mówi pieszczotliwie.

Dobiło przetaił oczy i nienawistnie spojrział we wnętrze panującej ciemności.

Tamto już wszystko minęło, przepadło. Ta noc czarna niemal pochłonięła ich i rozdzieliła. Może na... zawsze...

Coś, jakby rozpacz, opanowała jego myśl na chwilę, straszną, gnębiącą rozpacz przyniotła świadomość istnienia, odebrała możliwość odczuwania... Myśli kłębiły się w jakichś nieokreślonych podrygach, w szalenie dzikim tańcu bólu i tęsknoty.

Dobiło wstrząsnął głową, jakby chciał z niej zrzucić ciężące na niej jarzmo i błędnym wzrokiem spojrział poza siebie we wnętrze wagonu, szukając dla siebie miejsca, gdzieby mógł spocząć.

Nie namyślając się długo, wybrał je między dwoma śpiącymi towarzyszami broni i usiadł.

— Zasnąć, zasnąć — szeptał do siebie, chcąc się zmusić do porzucenia gnębiących go myśli.

— Zasnąć, nie myśleć o niczym...

— Wróć, niezadługo, wróć zdrów, a wtedy szczęście tem cudniejszym zadygoce blaskiem.

— Tchórzem nie byłem i nie będę, męskości! siły! — wołała wola.

Wstyd mu się zrobiło poprzednich myśli, rozmarzenia.

— Ot, zasnąć, jak ci obok i kwita... a jutro, świt wszystko w innych ukaże kolorach.

Spojrzawszy na śpiących bez troski, głośno chrapiących ludzi, nie mógł się obronić przed uczuciem złości do nich i żalu.

— Śpij sobie, jakby nigdy nic, a tam... moja żona, Zbys...

I znowu rozczulenie jęło go opanowywać. Myśli krążyły niestrudzenie.

...między tłumem kobiet i dzieci dojrzał ją... podnosiła Zbyszka na rękach i niemo się weń

wpatrzyła. Ręki nawet widocznie nie mogła unieść w górę...

Zegnała go łzami...

Zbys rączką słał mu pocałunki od ust dziecięcych, śmiejąc się doń swym jasnym uśmiechem...

Pociąg ruszył.

Jeden głos nie zmał uroczystej chwili. Tłum zegnał odjeżdżających poważnie, serdecznie...

Ręka Zbysia długo się poruszała, niosła mu pożegnanie, pociechę... nadzieję...

Wszystko znikło...

Z kąta wozu dał się słyszeć cichy, suchy trzask, mały płomyk błysnął i wnet ukazała się smuga błękitnego dymu. Ktoś zapalił fajkę...

Dobiło zmęczonym ruchem wydobyl papierosnicę i zapalił papierosa.

Noc trwała.

Kompania szła miarowym krokiem. Żołnierze milczeli, zmęczeni długim, całonocnym niemal marшем. Okryci byli kurzem, twarze mieli spocone.

Dzień był jesienny, parny. Ziemia spragnioną była deszczu. Z drogi, z pod setek nóg obutych, ciężko krocących, unosiły się tumany prochu.

Zbliżali się do lasu.

Komenda. Stanęli.

Na łące pod lasem miano rozbić obóz i przenocować. Wysunięto strażę i oddział rozłożył się na suchym trawniku. Z szeregu, w niewielkiej odległości za oddziałem ciągnących wozów, wyjechał jeden niewielki, w parę zaprzężony koni i wnet rozszedł się w powietrzu nęcąca woń gotowanego w kuchni polowej mięsa.

Żołnierze gromadzili się dokoła kuchni i grupami zasiadali do jedzenia. Wieczere popijano łykiem gorzałki, zapalano fajki, papierosy... Nastroj od razu stał się weselszym. Śmiano się, nucono półgłosem żołnierskie piosenki...

Ten i ów, ułożywszy tornister pod głowę, zasypiał natychmiast snem twardym strudzonego człowieka; inni gawędzili swobodnie, lecz oczy wszystkich z wolna się kleiły. Jeszcze cień zupełny ziemi nie naszedł, a wszyscy już prawie spoczywali w śnie.

Dobiło leżąc, dopalał papierosa i oczyma bezmyślnie śledził poruszające się wolno chmury. To go zajmowało całkowicie.

Jedna ciągnęła za drugą, wolno spokojnie... Cisza była wkoło zupełna i zdawała się go kołysać do snu.

Obrazy zaczęły się mieszać, myśl błakała się gdzieś leniwo, coraz leniwiej...

Dobiło odczuwał lekkie omdlewanie ciała, popadał w sen.

Zasnął.

Zbudziła ich trąbka — rozkaz. Szybkim marszem ruszono naprzód. Przedarli się przez gęsty las i szli dalej szybko, coraz szybciej.

W pewnej chwili stanęli. Dały się słyszeć strzały; zrazu przygłuszone, nieliczne, potem już całkiem wyraźne salwy, coraz częstsze, bliższe.

Ordynans na spienionym koniu wpadł w ich szeregi. Przywioził jakieś rozkazy, oddał dowódcy i znikł tak szybko, jak się pojawił.

Oddział rozbił się na małe oddziały, zostawił za sobą rezerwy i ruszył wyciągniętą linią naprzód. Głośne rozkazy oficerów mieszały się z odgłosem bliskich strzałów. Kule zaczęły świstać tuż nad głowami żołnierzy. Ten i ów pochylił instynktownie głowę i szedł naprzód.

W tej chwili dał się słyszeć suchy, mnogi trzask, naprost oddziału w odległości kilkuset kroków ukazała się długa linia błękitnego dymu, suchy trzask i świst setek przelatujących kul.

Linia zachwiała się, kilku żołnierzy osunęło się na ziemię...

Inni momentalnie legli na ściernisku i poczęli strzelać gwałtownie.

Ruszyli częściami naprzód, biegnąc szybko i znowu przypadali do ziemi, znowu strzelali...

Dobiło biegł z innymi, przypadał do ziemi, celował zimno, strzelał...

Czynił to wszystko ze spokojem, mechanicznie, nie myśląc zupełnie, co czyni.

Potem krótki a ostry, jak stal, rozkaz przeniknął całe jego jestestwo. Zebrał się w sobie, w obie dłonie pochwylił karabin i z nadstawionym ostrzem bagnetu począł biedz co sił...

Stracił nad sobą panowanie; nie wiedział dokąd biegnie, jak długo...

Bić, bić — huczało mu w głowie — a mocno! Kule przestały świstać, żołnierze krzyczeli ochrypłymi głosami:

Hurra— a! hurra— a!

Nieprzyjaciół uchodził.

Odpoczywano. Oddział otrzymawszy dalsze dyspozycje, umocnił swoją pozycję, wykonawszy szereg robót ziemnych. Pozycja ta żadną miarą nie mogła się dostać w ręce nieprzyjaciela. Pomimo szczupłych sił można jej było bronić z powodzeniem. Ewentualną obronę ułatwiała wcale dogodna warunki terenowe. Pozycja była na małym wzniesieniu i górowała nad doliną, skąd mógł nadciągnąć nieprzyjaciół. Na skrzydłach oddziału z jednej strony płynęła rzeka dość obfitująca w wodę, a z drugiej szereg domostw, z których skrycie można było razić nieprzyjaciela.

Wkrótce nadciągnęła bateria z sześciu dział i zajęła również dogodną pozycję.

Czarne paszcze armat groźnie, ponuro patrzyły w dal, jakby szukając ofiary...

Na razie cisza była i spokój.

Dobiło wraz z kilkunastu towarzyszami znalazł się w jednym z domów. Nieprzyjaciół cofał się zbyt szybko, ażeby mógł zniszczyć zabudowania. Ślady jego chwilowego tutaj pobytu były jednakże aż nadto widoczne. Szafy i stoły porozbijane, naczynia potłuczone...

Z mieszkańców ani śladu. Przeszukano dokładnie budynki i nie znaleziono nikogo. Zgotowawszy posiłek, kładziono się spać. Jeden rzucał się obok drugiego na podłogę, nie bacząc na nic i zasypiał kamiennym snem.

Dobiło znalazł się na strychu. Przez szpary pomiędzy gąkami sączyły się srebrne nitki bladego księżycowego światła i swobodnie igrały wśród rupieci bez ładu tutaj poskładanych, a przez żołnierzy po całej przestrzeni strychu porozrzucanych.

Dobiło rozłożył swój koc i ułożył się do snu.

Cisza była zupełna; tylko od czasu do czasu dochodził jakiś głos, stłumiony stukot ciężkich kroków — to strażę.

Dobiło odczuwał rozkosz spoczynku. Wyciągnął dokładnie nogi, przeżegnał się i zmrużył oczy. — Chwilami na końcach rzęs drgały mu sine promienie księżyca, znikwały, znowu się pojawiały...

Było w tem coś ciepłego, radosnego; jak pieszczota kołysało go to do snu...

Nagle dał się słyszeć łoskot upadającej deski. Dobiło zerwał się i usiadł. Nadstuchiwał.

Cisza trwała nieprzerwanie.

W padających przez dach promieniach świetlnych zawirowały miliony pyłków, tworząc wielobarwne, figlarne smugi.

— Deska się usunęła — pomyślał Dobiło, spojrzawszy na stos obok leżących belek i uspokojony zupełnie położył się z powrotem.

Niedługo jednakże spoczywał w spokoju. Za chwilę posłyszał z tej samej strony pochodzące, ciche, ledwie dosłyszalne szmery.

— Myszy? — pomyślał w pierwszej chwili; uniósłszy jednakże ostrożnie głowę i nadstawivszy uszu, dokładnie posłyszał jakieś delikatne suwanie. Coś jakby czołganie się...

— Tam musi być ktoś ukryty...

Szereg myśli — błyskawic przemknęło mu pod czaszką. Poczł lekki dreszcz.

Nie ruszał się.

Cisza była nieskończona. Księżyc świecił...

Jakiś dziwny tajemniczy spokój...

Znowu szelest.

Dobiło zerwał się, chwycił karabin i jednym skokiem znalazł się przy stosie rupieci. Odwalił jedną belkę, drugą, jakąś deskę odrzucił na bok...

Coś jęknęło...

Stłumione, mimowolne westchnienie...

Dobiło stanął osłupiały.

Z pod stosu desek błyszczała para oczu. — W ciemności nic więcej dojrzeć nie można było.

— Łotrze! — pomyślał groźnie, czując lekkie ciarki, przebiegające wzdłuż ciała.

— Wyłaż, bo ubiję — warknął zachrypłym głosem.

Cisza. Nic się nie ruszyło.

— Wyłaż, bo ci w te ślepie wpakuję bagnet...

Znowu cisza...

Dobiło pochwylił nerwowo jeszcze jedną belkę i odrzucił na bok. Jeszcze drugą i trzecią...

... w kałuży krwi dziecięce spoczywało ciało. Leżał chłopczyzna maleńki, w kłębek niemal zwinięty...

Długie, jasne włosy, błękitne oczęta, szeroko rozwarte, ze strasznym patrzyły przestrachem, bólem, osłupieniem...

Sukienki krwią już stygnącą przepojone wały się w prochu.

Dobiło stał bez ruchu.

W oczach kręciły mu się gorzkie łzy, serce skowyczało z żalu...

— Jakież on podobny do Zbysia — szepnęła mu myśl.